



PÓŁ ROKU TEMU, po tylu latach nieprzerwanej obecności, przyszły tygodnie i miesiące bez edytoriału redaktora-seniora ks. Adama Bonieckiego na trzeciej stronie „Tygodnika Powszechnego”. Wciąż objęty bezsensownym zakazem publicznych wypowiedzi, przypominał w tym miejscu, jak silnie wybrzmiewa głos, który jest uzależniony jedynie od doświadczenia prawdy. I milczący, gdy ta go przekracza. Ale w kwietniu przymus milczenia przyszedł skądinąd. Nasz komunikat był wtedy zwięzły i lakoniczny. Tym bardziej dziękuję teraz Czytelnikom, że Wasza troska i zainteresowanie były przez ten czas tak czułe, wyrozumiałe i nieprzerwane. Staraliśmy się zapewnić Adamowi najlepszą opiekę i dyskretnie chronić przed próżną ciekawością. Wierzyliśmy od początku, że najlepszym sposobem na opowiedzenie tej historii będzie głos samego redaktora-seniora. Teraz zdecydowaliśmy wspólnie, że przyszła pora, byście też mogli go wysłuchać.

PIOTR MUCHARSKI
redaktor naczelny
„Tygodnika Powszechnego”

*Anna Goc z ks. Adamem.
Kraków, wrzesień 2022 r.*

TEMAT
TYGODNIKA

WRACAM DO SIEBIE

KS. ADAM BONIECKI:

Pan Bóg jest w moim życiu ciągle.
Może tylko dyskretniejszy, niż był przedtem.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

ANNA GOC: Prowadzisz pamiętnik?

KS. ADAM BONIECKI: Nie, choć dostałem takie zadanie od pani, z którą ćwiczę pamięć. *(Wstaje po zeszyt w czarnej oprawie, podpisany „Pamiętnik księdza Adama Bonieckiego”. Przewraca pierwsze strony).*

Widzę, że jakieś zapiski są.

Wpisuję tu słowa, których uczę się na nowo. Dzisiaj rano usiłowałem do ciebie zadzwonić. Pamiętałem doskonale, jak wyglądasz, wspólną pracę nad książką. Nie mogłem sobie jednak przypomnieć, jak się nazywasz.

Zadzwonileś.

Szukałem twojego nazwiska w książce telefonicznej przez godzinę. Przesuwałem nazwisko za nazwiskiem, aż w końcu trafiłem na „Anię Goc”. Już wiedziałem, że to ty. Wspomnienia się zachowały. Z mojej pamięci wymazały się tylko niektóre słowa. Cała praca polega na tym, by je wbić w pamięć na nowo. Na przykład to, który mamy rok. 2022, tak?

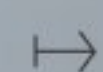
Tak.

Długo to powtarzałem, nim wróciło. Słowa, których teraz się uczę, wpisuję do notesu. Dlatego, wybacz... („Ania Goc” – zapisuje).

Pół roku temu, tuż po udarze, opowiadałeś mi, że teraz z Twoją pamięcią jest tak jak z podróżą przez ciemny las. Taki, w którym już kiedyś byłeś. Poruszasz się jeszcze trochę po omacku, ale jeśli trafisz na właściwą ścieżkę, idziesz dalej pewnie.

To, co działo się z moją pamięcią, trudno mi porównać do czegokolwiek innego. Mała, i na szczęście nieodpowiadająca za codzienne funkcjonowanie, część mojego mózgu została wyłączona. Przez cały czas próbuję ją uruchomić. Udaje się, tak przynajmniej twierdzi pani, z którą pracuję. Latem pojechałem z Klubem „Tygodnika” na krótkie wakacje na Podlasie. Mogłem więc trochę przetestować moją pamięć w nowych okolicznościach.

Przez kilka tygodni po udarze byłeś w szpitalu rehabilitacyjnym. Zapukałyśmy z Grażyną Makarą,



→ naszą fotografią i edytorką, do Twojego pokoju. Cisza. Szukałyśmy na piętrze, ale nikt Cię od dłuższej chwili nie widział. „Ks. Adam Boniecki? Pewnie jest ze swoimi parafiankami” – powiedziała nam pielęgniarka. Byłeś w kaplicy, odprawiałeś mszę.

Miałem z tym na początku problem, mam tylko nadzieję, że niczego ważnego nie pominąłem. Jest taki moment w liturgii, gdy ksiądz modli się za biskupa miejsca i wymienia jego imię. Musi to zrobić z pamięci. Powtarzałem więc przed mszą, a potem – zapominałem. Matko... Moje problemy z pamięcią, o których mówię, mogą teraz wyglądać jak manifestacja, po tym naszym tekście o nim. Ale ja tuż po udarze naprawdę zapominałem.

Do konfesjonału też szedłem wtedy niepewnie. Poruszałem się po omacku. Obawiałem się, że pomyłkę formułę spowiedzi. Założyłem stulę, czekałem. Ktoś podszedł, zaczął mówić. I wtedy trafiłem na właściwą ścieżkę, nie miałem problemu z tym, co dalej.

Opowiadasz o tym tak, jakbyś – w pewnym sensie – musiał od nowa nauczyć się bycia księdzem.

Jedna rzecz była w ostatnich miesiącach znamienita. Zastanawiam się, czy warto o niej pisać. Wydarzyła się tuż po tym, jak trafiłem do szpitala. Zresztą tamtego dnia... To był koniec marca, tak?

Tak.

Tamtego dnia, gdy byliśmy w drodze do Rzeszowa na spotkanie z czytelnikami, a ja zamiast na nie trafiłem na SOR, też dokładnie nie pamiętam.

Do busa, którym zwykle podróżujemy, wsiadłeś przy swoim krakowskim mieszkaniu, a my, kilka osób z redakcji, dosiedliśmy chwilę później. Zajmowałeś swoje stałe miejsce, przeglądałeś coś w telefonie.

Od rana czułem się gorzej, wszystko robiłem dłużej niż zwykle – to pamiętam. I co było dalej?

Ktoś Cię o coś zapytał, a Ty odpowiedziałeś ciszej niż zwykle, głosem delikatnie zmienionym. Pojechaliśmy prosto do Szpitala Uniwersyteckiego.

Plany? Mam prawie dziewięćdziesiąt lat!

Ale lepiej chodzę, mam zapewnioną świetną rehabilitację.

Jak wszystko pójdzie dobrze, wrócę do mojego mieszkania.

Wahałeś się, chciałeś jechać na zaplanowane spotkanie.

Chciałem jechać, naprawdę? Tego nie byłem świadom. Chyba trochę udawałem, że jest lepiej, niż było. Z pobytu w szpitalu nie pamiętam właściwie nic. Rozmowy z lekarzami, badania – to się wytarło z mojej pamięci. Wiem tylko, że odwiedziła mnie moja siostra. Jacek Ślusarczyk z „Tygodnika” był tam ze mną prawie stale, potem zresztą też. Ale kilka tygodni w szpitalu rehabilitacyjnym już lepiej pamiętam.

Tuż po udarze myślałem, że prawdopodobnie niebawem umrę. Nie czułem żadnej trwogi, grozy przemijania. Zatrzymanie mózgu. Koniec. I właśnie wtedy zdarzyła się dziwna rzecz. Nie mówiłem o niej dotąd nikomu. I wciąż zastanawiam się, czy warto...

Wiara w niebo, w zbawienie – wszystko to znikło. Byłem świadom tego, że dzieje się coś nowego. I że ten dziwny stan, w którym nie ma nic więcej, trwa.

Patrzysz na mnie zdziwiona.

Ty się wtedy nie zdziwiłeś?

Myślałem, że umrę. I wtedy ten stan obojętności... Bardzo silny, przynajmniej na początku. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłem. Miewałem wątpliwości związane z wiarą, różne jej etapy. Ale to nie był etap, to było coś zupełnie nowego.

„Dobrze” – pomyślałem. Żyłem długo, teraz trzeba umrzeć. Umrze się i spokój. Nie było w tym ani radości, ani smutku. Zanik wiary... Nic się z nim nie da zrobić. Jest w środku, w człowieku.

Pustka?

Nie, nie odczuwałem tego jako pustki. Powiedziałbym raczej, że jako stan, w którym pewna kategoria rzeczy zostaje wymazana.

Myślałeś, że na zawsze?

Wtedy nie wiedziałem, co może znaczyć „zawsze”. Nie podejmowałem żadnych wysiłków, żeby wróciła. Powoli różne funkcje życiowe wracały, mózg się budził. Zaczęła wracać też wiara. Ale chyba trochę inna.

Więc to było ciekawe doświadczenie religijne. Ale czy aby religijne? Jako dziennikarze piszemy o różnych formach religijności. Są to sprawy ważne. Zgoda. Co jednak z ludźmi, którzy tracą wiarę? – myślę teraz. Jestem szczególnym przypadkiem, bo poznałem ten stan ze względów neurologicznych. Ale takie doświadczenie może przytrafić się każdemu. Spotykamy przez całe życie wierzących, niewierzących, i nagle ta druga kategoria staje się absolutnie nasza. Czy mamy o tym nie rozmawiać?

Ludzie się czasem obwiniają, że tracą wiarę.

Znałem takich ludzi. Wiem, że niektórzy nie potrafili sobie z tym poradzić. Bywało, że przychodzili z tym do księdza. Sam się tak nie czułem, nie obwiniałem się.

Mnie bardziej intrygowało to, że wiara wraca. Ale co właściwie wraca? Czy mózg wyławia coś ze starych nawyków, sposobów myślenia i to podsuwa? Trudno powiedzieć, co się zatarło, a co możemy odzyskać. Może takie chwile też są potrzebne? Potem człowiek podchodzi do wielu spraw z większym dystansem.

Co innego staje się ważne?

Nie wiem, czy co innego. Po prostu żyje się, ale bez tego, co zostało wymazane.

Gdy pracowaliśmy nad naszą książką „Boniecki. Rozmowy o życiu”, wspominałeś o samotności. Wracasz do pustego mieszkania, wiesz jednak, że jest On.

Kiedy zostaje się księdzem, chyba nie myśli się o samotności. To przychodzi dopiero po jakimś czasie. Moment, kiedy zdajesz sobie sprawę, że jednak nie będziesz miał rodziny ani dzieci. Pamiętam, jak o tym rozmawialiśmy, ale jeśli jakaś część mózgu zamiera, dużo się zmienia. Próbuje się odtworzyć dawny sposób myślenia, tyle że to już nie jest – i nie może być – to samo. Przypominam sobie różne rzeczy, mało mnie one jednak teraz poruszają.

On jest?



*Ks. Adam Boniecki po swoich 88. urodzinach.
Redakcja „Tygodnika Powszechnego”, lipiec 2022 r.*

Jeśli pytasz o moją relację z Bogiem, to ona wraca, ale na pewno jest w niej jakaś zmiana. Właściwie trudno to nazwać zmianą. Ostatni etap może? Taki, kiedy człowiek godzi się na Tajemnicę. Pan Bóg jest w moim życiu ciągle, może tylko dyskretniejszy, niż był przedtem.

Wiara to wiara. Nie da się jej do końca obronić albo udowodnić. Patrząc na to, jak byłem formowany w seminarium i jak myślę dzisiaj, widzę, że pewne sprawy wcale nie są takie łatwe i oczywiste. Proste sformułowania, które wypowiadałem, już się nie sprawdzają. Stara teologia była bardzo rygorystyczna i pewna siebie. A prze-

cież właściwie wszystko to, o czym rozmawiamy, sprowadza się do rzeczy bardzo ludzkiej: jak najlepiej odpowiedzieć na oczekiwania Pana Boga.

Mówisz o ostatnim etapie.

Co w nim jest innego?

Człowiek coraz mniej się mądrzy. Ja przynajmniej tak mam. Liczne spory i kłótnie uczą tego, że zwykle nie mają sensu. Bywa, że lepiej coś zostawić, z nadzieją, że może ktoś będzie z czasem myślał inaczej. Obawiam się na starość obcowania z ludźmi przemądrzałymi, którzy wszystko wiedzą. To po nic.

Kilka lat temu powiedziałeś mi, że czujesz czasami obecność Twojej matki. Wiesz, że ona gdzieś jest.

Moja mama chorowała, przypuszczaliśmy, że to może być koniec. Mieszkałem wtedy w Rzymie, byłem redaktorem naczelnym polskiej edycji „L'Osservatore Romano”. Pamiętam, że przygotowywaliśmy do druku tekst papieża, jego medytację drogi krzyżowej. Pracowałem nad tekstem tłumaczenia, co było bardzo absorbujące. Już prawie kończyliśmy, lada moment miałem wrócić do Polski. Nie zdążyłem. Moja mama umarła.

Pamiętam tamten czas bardzo dobrze. Bezradność. Człowiek myśli, że można było zrobić wspólnie to czy tamto. Więcej czasu poświęcić bliskim. Po prostu być.

Czujesz, że mieliście wspólny czas?

Gdy byłem w Rzymie, mama przyjeżdżała tam czasem na wakacje. Mieszkała wtedy u sióstr urszulanek w Scauri, w domu tuż nad morzem. Z tego czasu pamiętam przede wszystkim moją matkę – była wtedy szczęśliwa. To był ważny okres dla niej, czuła się tam dobrze.

Takich momentów pięknych i wspólnych uzbierało się przez moje długie życie, to jest niewątpliwe. Są one jednak zrównoważone tym, czego wolałoby się nie pamiętać. Niedawno umarła moja siostra. Znowu ta sama myśl, że miałem dla niej za mało czasu.

Nie sprostą się wszystkiemu...

W każdym razie dobrze, że się życie kończy. Wcale nie myślę o tym z przerażeniem, raczej z zadowoleniem. Kiedyś robiliśmy rozmowy o życiu, to teraz będą rozmowy o śmierci?

Jest tylu ludzi, którzy chcą, żebyś był. To ma znaczenie?

Dość szybko nauczyłem się, że nie należy ludzi trzymać za wszelką cenę przy sobie. Nie szarpałem się, by kogokolwiek zatrzymać. Jeśli będą chcieli, znajdą mnie. A jeśli umrę? Ludzie pamiętają, pamiętają, a potem zapominają. Długie jest to moje życie. Tak właściwie żyję i żyję. Bardzo dużo ludzi z mojego bliskiego otoczenia już umarło. Los starych ludzi. Przychodzi moment w życiu, kiedy człowiek sobie mówi, że taki jest porządek świata, i się z tym godzi. Nie da się od tego uciec.

Co innego, gdy ktoś umiera młodo. Mój ojciec został bardzo wcześnie zamordowany. Dobrze pamiętam gestapowców, którzy po niego przyszli.





Pierwszy raz w naszej redakcji po wyjściu ze szpitala, 12 maja 2022 r.

→ „Jeden z nich miał na policzku dziwny rumień w kształcie litery L. »Znajdę cię po tym L, jak dorosnę« – myślałem wtedy” – mówicieś w naszych rozmowach.

Miałem wtedy zaledwie dziesięć lat. Choć i tak byłem w lepszej sytuacji niż moje rodzeństwo, bo mój najmłodszy brat ojca właściwie nie pamięta.

Brakowało Ci go potem?

Brakowało mi go zawsze, teraz to widzę. Jako dziecko przywykłem, że jest mama, moje rodzeństwo, stryj, najbliżsi krewni. Bardzo nie chciałem, żeby mama wyszła drugi raz za mąż, właściwie myślałem o tym z przerażeniem.

W szpitalu, tuż po udarze, po raz pierwszy pomyślałem, że ludzie odchodzą, nie ma ich, koniec. Nawet gdy się kogoś kocha, nie ma co go za wszelką cenę zatrzymywać. Człowiek jest zawsze takim niewypłacalnym dłużnikiem.

Trudno się pogodzić z tym, że kogoś tracimy.

W młodości nie bardzo się zauważa, że życie się zmienia. Ludzie wokół są starsi, młodszy, ale są. Teraz jestem na takim etapie, że życie się zmienia i musi się zmieniać. Człowiek czuje, że powoli przestaje pasować do życia, które jest wokół. Impo-
nują mi ludzie, którzy mimo wieku wciąż

pasują. Oni w gruncie rzeczy muszą wkładać mnóstwo energii w to, żeby pasować.

Pisanie jest dobrym sprawdzianem. Człowiek widzi, jaki zrobił się straszliwie rozwlekły. Bierzesz starą książkę, którą napisałeś dwadzieścia lat temu, i już wiesz, co minęło.

Pamiętam Twoje teksty, na przykład o kobiecie, która zostawiła swoje dziecko i listę osób, u których szukała pomocy, a potem rzuciła się pod pociąg. „Nigdy się na takiej liście nie znaleźć” – napisałeś.

Bardzo dobrze pamiętam ten tekst i czas w Paryżu, kiedy go pisałem. Ale teraz – być może to jest zasługa mojego mózgowego wylewu – mam takie wrażenie, jakbym to nie ja był jego autorem. Przejmująca historia kobiety, która szukała pomocy i jej nie znalazła. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jakby jej historię opisał jakiś inny facet. Nie ja. Dziwne uczucie, gdy się swoją przeszłość wspomina i nie jest się pewnym, czy wszystko się z niej pamięta. Przeszłość i tożsamość.

Miesiąc temu przyniosłam Ci książkę „Duch puszczy” z Twojego dzieciństwa – opowiadałeś mi o niej wiele razy.

Ty mi ją podarowałaś? Nie mogłem sobie przypomnieć, jak się u mnie znalazła.

Miałem sześć lub siedem lat, gdy dostałem ją od rodziców pod choinkę. Chyba nawet to samo wydanie... Pierwsza książka, którą samodzielnie przeczytałem. Zapamiętałem sceny, które są tam zaledwie zaznaczone, drugorzędne postaci, mało ważne dla fabuły. Być może na to, co zapamiętujemy z książek, nakłada się to, co sobie wyobrażamy czytając je? Na pewno wtedy była ciekawa, dziś niekoniecznie.

Wróciłbyś do czasu dzieciństwa?

Dobre rzeczy w różnych okresach wszędzie się zdarzały. Miłe momenty, ludzie kochani, ale takiego wspaniałego okresu, którego bym sobie jeszcze raz życzył, nie mam.

Moje dzieciństwo było bardzo piękne, nie znałem wtedy problemów dorosłych. A one przecież były. Miałem sześć lat, gdy wybuchła wojna. Ludzie chyba znów żyją w przeświadczeniu, że za chwilę może być wojna? Także u nas.

Myślę, że wielu się tego obawia.

Niby jesteśmy w Unii Europejskiej, niby jest wolność. Wiadomo jednak, że wszystko wisi na włosku. Co to będzie, powiedz?

Ludzi, którzy pamiętają wojnę i jej okropności, jest coraz mniej. Pamiętam Miłosza, co to była za postać! Olśniewająca. Zrobiłem mu kiedyś chyba przyjemność, bo poprosiłem, żeby wpisał mi dedykację w środku tomu, pod wierszem, który wybrałem. Miłosz właściwie zawsze o coś pytał. Męczył mnie czasem o fragmenty z Pisma Świętego. Herling-Grudziński bywał w „Kulturze”, gdzie go spotykałem. Trzeba było z nim uważać, bo nigdy nie było wiadomo, co z naszych rozmów włąduje później do swoich zapisków. No i Giedroyc. Giedroyc to był Giedroyc. Dla niego zawsze najważniejsze były problemy Europy. „A dobrze, że książkę przyjechał, mam tu sześć zarzutów: dwa do Turowicza, trzy do papieża i jeden...” – mówił.

Na starość człowiek jednak inaczej odbiera różne rzeczy. Myślę, że mnie będzie dosyć łatwo umierać, bo nie mam czegoś takiego, za czym bym tęsknił. Czasów, które chciałbym, żeby się wróciły.

Jakie plany na teraz?

Plany? Mam prawie dziewięćdziesiąt lat! Wracam powoli do siebie. Widzę, że wszystko, co u mnie w ostatnich miesiącach się wydarzyło, teraz już łagodnieje.

Lepiej chodzę, jeszcze niezupełnie dobrze, ale coraz lepiej. Mam zapewnioną świetną rehabilitację. Jak wszystko pójdzie dobrze, wrócę do mojego mieszkania.

Wchodząc tu do Ciebie od razu pomyślałam, że tu jest Twój chwilowo rozbity namiot. „Trzeba mieć duszę koczownika. Rozstawiam namiot, jutro go zwijam, idę dalej... Wtedy nie da się mieć zbyt wielu rzeczy” – mówiłeś w naszych rozmowach.

Tak poczułaś? Fajnie. Wnętrze, jak widzisz, kompletnie nie jest moje. Tylko trochę swoich rzeczy, które przywieźli mi Jacek Ślusarczyk z Olkiem Kardysiem z Fundacji Tygodnika. To, co najpotrzebniejsze. Tak, myślę, że teraz tu, choć jednak przez chwilę, jestem u siebie. Nie czuję się jeszcze zupełnie zdrowy, ale widzę, że mogło być dużo gorzej. Są dni, kiedy człowiek czuje się dobrze, a potem nagle – jeden dzień i tyle się zmienia.

Mnie się chyba jednak udało, ciągle przychodzą przyjaciele z redakcji. Wiele osób, które tutaj mieszkają, mogą czuć, że to nie jest dla nich najlepsze wyjście. Ale realnie – jest. Ktoś ich odwiedza, zabiera do domu na święta. Biedni są ci, którzy nie mają żadnej łączności z domem.

Być może nie mają nikogo bliskiego.

Niektórzy, widzę to codziennie, siedzą w ogrodzie, niedaleko furtki.

Człowiek coraz
mniej się mądrzy.
Ja przynajmniej tak mam.
Liczne spory i kłótnie
uczą tego, że zwykle
nie mają sensu.

Ciągle czekają. Spotykam tu ludzi chorych, bardzo biednych. I bardzo, bardzo nieszczęśliwych. Bywa, że są tu od kilkunastu lat. Mówią, że w ich życiu nic się nie dzieje, ciągle to samo. Niektórzy chcieliby być w domu, tęsknią za takim ludzkim domem. Niektórzy wiedzą, że to jest ich ostatni dom.

Mówią o tym?

Rzadko. Myślę, że jest łaska chwili. Żeby mieć dla kogoś spotkanego dobre słowo. W budynku obok, na ostatnim piętrze, mieszkają najbardziej chorzy. Byłem tam ostatnio. Od pokoju do pokoju, do ostatniego już nie wszedłem. Miałem wrażenie, że wkraczam w czyjąś przestrzeń, bardzo intymną.

Poszedłeś tam jako ksiądz?

Nie, chciałem odebrać spodnie z prania. Wiedziałem, że panią, która zabrała je do pralni, można spotkać właśnie tam. To ona zaproponowała, że oprowadzi mnie po pokojach. Nasze rozmowy z chorymi były krótkie. Ktoś źle się czuł, ktoś był zmęczony. Są tu też ludzie, którym – tak czuję – jestem potrzebny. Wiem, że dla wielu z nich ważne są msze, które odprawiam codziennie w kaplicy, tuż obok. Spotykamy się na gimnastyce. Przychodzą tam też ci, którzy wcześniej nie chodzili wcale, przywraca się im zdolność poruszania się, ale nie u wszystkich się to udaje.

To, co mnie się przydarzyło, może spotkać każdego. Każdego. Dobrze, że tamtego dnia wsiałem z wami do busa...

No i chciałbym wrócić do pisania.

To kiedy?

Przed udarem pisałem jeden tekst w tygodniu. Zajmował mi zawsze trochę czasu, ale bez przesady. Raz szybciej, raz dłużej, ale pisałem. W końcu jestem chyba najstarszy w redakcji? Dziś napisałem kazanie na komputerze, którego obsługa sprawiała mi po udarze kłopot. Więc...

Widzę, że masz tu nową książkę Hanny Krall.

Dostałem właśnie z dedykacją. Hanka jest świetna. Czytam jej książki, raz, drugi, trzeci – żeby wychwycić wszystko. Ona się tak ciągle dziwi i dziwi. Właściwie, trochę jak ja.